



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach, pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Powiadają ludzie, że jeżeli Maj dopisze, to będziemy mieli i żniwa wczesne i urodzaje dobre w tym roku; bodajże się ich słowa święciły!

Chleba potrzeba i coraz więcej, a gdyby go, Boże broń! zbrakło, ciężko byłoby z tą biedą, która nie tak bardzo dokucza, jeżeli jej głód nie dopomaga. Głód, to straszny doradca, to najniebezpieczniejsza hydra, jaką piekło wysłało po ciała i dusze ludzkie; dlatego też gospodarские owe przepowiednie, które się tu i owdzie pojawiły po dziennikach naszych, musiały nas nową napęlić otuchą na przyszłość.

Ogrodnicy tylko przewidują nieszczęśliwy urodzaj owoców po zeszłorocznym wysiłku drzew i po tegorocznych przymrozkach kwietniowych. Trudno: jak będzie, tak będzie; dobry owoc należy u nas od długich lat do rzadkich wyjątków, a wreszcie stał się artykułem zbytku, prowadzanym, jak pachnidła i kosmetyki, z zagranicy. Doszło do tego, że tyrolskie jabłuszko lub gruszką kosztuje u nas drożej od bochenka chleba: więc nie dziwnego, iż owoce stały się teraz przysmakiem pańskich głównie żołądków i ozdobą bogactw i zastawnych stołów.

Utrzymują wprawdzie, że sadownictwo nasze znowu się podnosi z upadku, że się nawracamy powoli do owej tradycyjnej hodowli szczepów, z których niegdyś słynęły dziadów naszych cieniste ogrody, ale skutków tej rehabilitacji jakoś jeszcze nie widać. Bogu dzięki, że przynajmniej na dobrych chęciach i na ludziach dobrej inicjatywy nie zbywa. Zawszeć to jedna z gałązek gospodarstwa wiejskiego i źródło dobrobytu, a w naszym położeniu żadnym dochodem, żadnym środkiem wspomagającym gardzić niewolno.

Niebawem będziemy mieli sposobność przekonać się, oile też nasi rolnicy postąpili w pracy i staraniach około ulepszenia i rozmnożenia swego dobytku; sposobność tę poda nam wystawa koni i inwentarza wiejskiego na Placu Ujazdowskim, która w roku bieżącym zagarnęła znacznie większy obszar i pomnożyła działy swoje; oprócz bowiem koni, trzody, baranów, psów i drobiu, zajmą jeszcze sporą przestrzeń maszyny i narzędzia rolnicze.

Nieszczególne wyobrażenia dadzą o sobie nasze gosposie wiejskie, jeżeli nie wystąpią liczniej i pokazniej w dziale hodowczym, niż w roku zeszłym. Trzoda i drób onego czasu cieszyły się łaskawym faworem gospodarczych pań, które nie wstydziły się i nie leniły z dworskich pokojów zaglądać do kurników i obory, a czyniły to z takim naturalnym wdziękiem, że raczej zyskiwały, niż traciły, na uroku. Koń i pies bywał faworytem pana; krówka i kokoszka zaś należały pod opiekę pani. Dzisiaj to niejako na naiwność zakrawa przypominać takie zastarzałe uprzedzenia i prozaiczne szczegóły, nad którymi niejedna wiejska emancypantka pogardliwie wzruszy ramionami i szepnie: *C'est horrible!*...

Ale przypomnieć się godzi, że nasze babki — świeć Panie nad ich duszą! — rozmawiały także po francuzku, a od biedy i po angielsku rozumiały Walter Scott'a, a mimo to, gospodarskich swych obowiązków i upodobań nie wyrzekały się wcale; a w nawiasie powiedziawszy, poetyczniejsze bywały: „sypiać rączką, jak perły białą gęstą grad perłowy“ krup jęczmiennych wszelakiemu ptactwu na dworskich dziedzińcach od niejednej dziś damy salonowej, rozpartej w fotelu z binoklami na nosku i romansem Zoli w rękach.

Ot, ktoby przypuszczał, że od kurników przyszłej wystawy na Placu Ujazdowskim, zająć można do... drażliwej kwestyi kobiecej!... Lepiej jej chyba tak przygodnie *à propos de bottes* nie poruszać; znajdzie się i na to pora w naszych gawędach

stosowna: więc wracajmy na Ujazdów, na którym zakłopotani stają wydziałowi Towarzystwa Dobroczynności i łamią sobie głowy, w jaki sposób dałoby się najlepiej wyzyskać ciekawość ofiarniczą, czy ofiarność ciekawą Warszawian, w ostatnim dniu wystawy, odstąpionym wspaniałomyślnie przez jej Komitet wychudzonej obecnie instytucji filantropijnej.

Może dobre bogi podszeptną kwestarzom nędzy i sierotom jaką szczęśliwszą i praktyczniejszą myśl od projektów urządzenia igrzysk rzymskich i wyścigów na wozach, lub turniejów średniowiecznych i karuzelu. Sliczne to rzeczy i zajmujące, ale nie do wykonania u nas, nawet przy najgorętszych uczuciach filantropijnych. Średniowieczność wywietrzała z nas tak zupełnie, że gotowimy ją na szykanę tylko i na śmiech narazić samą próbą wskrzeszenia jej, choćby w turniejowych szrankach, przy użyciu blaszanych zbroi i podrabianych kopij z sosnowego drzewa. Moznaby pójść o zakład, że lepiej się powiodą i kto wie, czy nie więcej zainteresują — wyścigi dorożkarzy, lub pompierów z beczkami.

Tempora mutantur i t. d. !... stara prawda, ale najprawdziwsza.

Zaczęliśmy od urodzajów: nie będzie zatem wielkim przeskokiem stylistycznym, gdy poświęcimy słów kilka meteorologii, zachęceni do tego odezwą szanownego D-ra Kowalczyka, starszego adjunkta przy obserwatorium astronomicznym w Warszawie; odezwa ta wprawdzie, wystosowana do wszystkich, najłatwiej trafiłaby mogła pod adresem pięknych pań, potrzebujących zajęcia w pewnych nudnych porach roku. Oto D-r Kowalczyk, zwracając uwagę na potrzebę zbierania wiadomości, dotyczących przebiegu takich zjawisk powietrznych, które zrażają szkody w rolnictwie, albo zagrażają niebezpieczeństwem dla zdrowia ludzkiego, doprasza się od przygodnych korespondentów o nadsyłanie mu na ręce redakcyi „Wszechświata“ w Warszawie dokładnych szczegółów o: 1)

czasie zamarzania rzek w jesieni, puszczenia lodów na wiosnę, oraz wylewu rzek; 2) niezwyklej zmianach temperatury jak to n. p. mieliśmy w ciągu ostatniej zimy i w Marcu; 3) o wichrach gwałtownych i trąbach powietrznych; 4) o burzach z grzmotami, piorunami, ulewami lub gradem; 5) o śniegach, długotrwałych deszczach lub pogodzie; 6) o stanie roślinności, jako wyrazie ogólnego przebiegu zjawisk powietrznych w pewnym czasie i miejscu, wreszcie o chorobach, grasujących pomiędzy ludźmi i zwierzętami.

Wszystkie spostrzeżenia tego rodzaju nie wymagają, ani specjalnych studyów, ani narzędzi meteorologicznych, tylko prostej uwagi myślącego człowieka, trochę dobrej woli i krzyński cierpliwości. Z tych drobiazgów, na pozór małoważnych, z tego nastroszonego bezzadnie materiału, nauka na użytek ogółu potrafi wyciągnąć wnioski i prawa dla laika niedostępne.

Sądzimy, że najwięcej korespondentów powinien D-r Kowalczyk mieć zpośród płci pięknej, która więcej miewa czasu i więcej zmysłu do tego rodzaju obserwacji.

Przed niedawnym czasem czytaliśmy drugą odezwę w imieniu nauki poważnej, skierowaną do intelligentnych matek polskich, a wystosowaną przez jednego z redaktorów *Przeglądu pedagogicznego*. Odezwa ta poruszała kwestyę nader sympatyczną i zajmującą; chodziło o dostarczenie autorowi materiału do dzieła o „mowie dziecięcej“, jej charakterze, rozwoju, osobliwościach i t. p. Któż lepszym może być w tym względzie obserwatorem, jeżeli nie troskliwa i kochająca matka, wpatrzona w swe dziecko od urodzenia, słuchająca uchem i sercem głosu jego, od pierwszego płaczu i krzyku, do rozkosznego śmiechu i szczebiotu; do kogoż właściwiej z taką misją udać się należało, jeżeli nie do matek naszych? „Mowa dziecka“ może być przedmiotem bardzo zajmującego i poważnego studyum: więc chyba wątpić nie można, że odezwa wyżej wspomniana pozyska autorowi liczne i chętne współpracowniczki.

Zanim kwestyę dziecięcego języka rozwiązana u nas zostanie, będziemy może mogli skończyć z ważniejszą na razie sprawą, która, na hańbę i utrapienie piśmiennictwa naszego, czekała od pół wieku ostatecznego rozwiązania.

Mamy tu na myśli tę nieszczęsną pisownią naszą, którą powykręcano już, pomieszano, skoszlawiono tak okropnie, zbałamucano tak chaotycznie, że dzisiaj prawie co książka, to inna ortografia, co dziennik, to inna metoda. Dzięki energicznej inicjatywie szanownego redaktora *Biblioteki Warszawskiej*, prof. J. K. Plebańskiego, sprawa ujednolinitości pisowni naszej stanęła na porządku dziennym. Przed tygodniem zebrało się grono ludzi kompetentnych, nauczycieli języka polskiego, niektórych redaktorów i innych osób, które tą kwestyą zająć chciały, i ci wszyscy wysłuchali starannie opracowanego referatu p. A. A. Kryńskiego co do wszystkich wątpliwych stron naszej pisowni i w zasadzie potwierdzili wszystkie wnioski autora. Referat ten po zupełnem przedyskutowaniu odesłany zostanie kommisji językowej Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, z którą już poprzednio porozumiano się w tym przedmiocie. Następnie wnioski ogólne z sankcją najpoważniejszej naszej instytucji naukowej będą wydrukowane i za pośrednictwem pism polskich rozpowszechnione.

Sprawa to wielkiej wagi i korzyści; zasługa niepożyta będzie tych, którzy ją ostatecznie rozwiążą i nauczą nas pisać poprawnie według jednych prawideł.

We Lwowie zabrano się także do tej sprawy w odmiennym nieco kierunku: tam znów w Kole literackim powstała *Komisja językowa*. Pracuje ona nad wynalezieniem środków, któreby mogły uwolnić piśmiennictwo od zepsucia i naleciałości obcych w polskim języku. Do składu tej komisji pod przewodnictwem profesora języka i literatury polskiej p. Tadeusza Piłata, weszli podobno p. p. Amborski, Baranowski, Kubala, Wł. Łoziński, Próchnicki, Sternal i Tretiak.

Wobec powiększonej, choć nie owiele, ilości godzin języka polskiego w naszych szkołach średnich, jest nadzieja, że i młodzież ucząca się skorzysta nieco więcej z prawidłowej nauki; zanie-

bany przedmiot powinien znaleźć w wychowaniu domowym należne uzupełnienie. Świętym obowiązkiem matek naszych jest wyuczenie swych dzieci języka ojczystego; one najłatwiej spełnić to mogą, bo pod ich kierunkiem dziecko uczy się mówić, wbija sobie w pamięć kardynalne zasady wymowy i składni, korzysta samo nie wiedząc o tem, najwięcej z owej „żywej gramatyki“ w ustach macierzyńskich; ale potrzeba, aby te matki same umiały dobrze mówić po polsku, aby sobie nie każyły języka francuszczyzną, lub czytaniem lichych tłumaczeń lichszych jeszcze romansideł, aby zrozumiały swój obywatelski obowiązek i nie wychowywały społeczeństwu papug i sroczek, skrzeczących potrosze pożyczanym, potrosze swoim językiem, a żadnym dobrze i poprawnie.

Tak jest: powinnością matki jest uczyć dziecko mówić poprawnie, choćby przyszło której z nich samej jeszcze zasiąść do książki i zdobywać naukę mozolnie i z trudem.

Tym, które lekceważą tę powinność — hańba i srom!

Kobietom, potrzebującym pożytecznego zajęcia, wskazaliśmy wyżej sposób dobrego zasłużenia się nauce tanim kosztem i małym wysiłkiem; pozostaje nam w kronikarskiej tecce jeszcze jeden projekt, zebrany ze szpalt *Echa*, z podpisem pani Bronisławy Leśniewskiej. Autorka poruszyła kwestyę, która w ostatnich czasach miała już do pewnego stopnia grunt przygotowany, ale utknęła wraz z projektem założenia „Towarzystwa opieki nad sługami“.

Pani Leśniewska domaga się nader wymownie i przekonywająco, wskrzeszenia niedzielnej szkoły dla służących, która od 21 Lutego 1861 r., do 17 Grudnia 1865 r. istniała w Warszawie i miała powodzenie, wiele obiecujące.

„Pełne dobrej woli — pisze autorka — na ochotnika biegłyśmy wówczas dzielić się umiejętnościami naszą z nieumiejętnymi. Był to rzeczywiście czyn miłosierdzia; siejba światła, dobrej rady, podźwignienia moralnego dla istot, które w codziennych z nami stosunkach obowiązane są niewolniczo prawie spełniać wolę naszą, dogadzać upodobań, strzedz dniem i nocą naszego mienia, w zamian za utrzymanie i płacę, której niezawsze towarzyszy przychylnie słówko, na przyszłe losy sługi wpływ wywrzeć mogące“.

Co Niedziela od godziny 3-ej do 6-ej odbywała się nauka udzielana kilkudziesięciu sługom przez uproszone panie. „Jaka cisza panowała naówczas w szkole, jaka uwaga... jakie pojmowanie rzeczy!... Jakaż to była miłość, cześć i wdzięczność dla nauczycielek!“

Nie podobna nie przyklasnąć tej dobrej i szczerśliwej myśli, którą pani Leśniewskiej wspomnienie byłej szkoły podsunęły, zwłaszcza w tym czasie, w którym demoralizacja służących rośnie coraz bardziej, a tradycyjne cnoty i zasady uczciwości słabną, albo giną bezpowrotnie.

Niegdyś sługa był przyjacielem domu i rodziny; dzisiaj całkiem słusznie powstało wyrażenie, że jest „płatnym wrogiem“.

Nie odkładając na lepsze czasy tego, co dzisiaj zrobić-by się dało, sądzimy, iż szanowna wnioskodawczyni najłatwiej mogłaby swój projekt urzeczywistnić, dobrawszy sobie odpowiednie grono równie chętnych i rozumnie rzecz pojmujących towarzyszek.

Tylko, że w obecnej porze trudniej będzie o utworzenie jakiegoś kompletu; miłościwe lato wyprowadzi z Warszawy większą część pań na wilegiaturę lub do kąpieli, — i z konieczności przerwa się pasma towarzyskich i społecznych zajęć.

Warszawa laża dzień się opróżni i sezon ogórkowy skwasi resztki publicznego i salonowego życia.

Dla jaskółek, odlatujących od nas na lato, mamy wiadomości o nowem gnieździe, które z całą troskliwością ściele im dwóch lekarzy warszawskich pp. Ludwik Kadler i Henryk Stankiewicz; wzięli oni w dzierżawę źródło lecznicze w Krzeszowicach pod Krakowem i tam urządzają zakład kąpielowy na wielką skalę. Źródło Krzeszowickie posiadają wody siarczane w tym samym rodzaju, jak: Busk, Solec i Akwisgran (Aachen), który w sile leczniczej znacznie jest słabszy od naszych wód krajowych; znane one są od bardzo-

dawna. Z półtrzecia wieku minęło już, gdy w kronikach pojawiły się pierwsze wzmianki o zbawienym wpływie źródeł na zdrowie ludzi; mimo to dopiero przed jedenastoma laty zabrano się do poważniejszej analizy wód krzeszowickich, pod względem chemicznym i lekarskim, i odtąd datuje się wzrastający rozgłos źródeł.

Używanie tych wód zalecane jest w reumatyzmach, skrofalach, podagrach, chorobach angielskiej, newralgiach, paraliżach, katarach chronicznych nosa, krtani i oskrzeli, zatruciach metalicznych i t. d.

Jak widzimy, litanijka spora dolegliwości, których w Krzeszowicach pozbyć się można: zamiast przeto wyrzucać pieniądze na dalekie podróże i wypychać kieszenie Niemcom lub Francuzom, go-dziwiej i lepiej korzystać z tego, co mamy za własnym progiem.

Oprócz kościoła, stacyi kolei żelaznej (godzina drogi do Krakowa), poczty, apteki, zaopatrzonej we wszystkie rodzaje wód mineralnych, znajduje się w Krzeszowicach obszerny i elegancki hotel z wszelkimi wygodami, trzy restauracje, pomieszkania prywatne; łazienki ogrzewane parą, a nawet na wzór zagraniczny pensjonat, w którym chorzy za cenę 3 do 5 rubli dziennie, znaleźć mogą pomieszczenie i wygodne utrzymanie pod nadzorem lekarskim.

Dla zdrowych, potrzebujących świeżego powietrza do wytchnienia, lubujących się w urokach natury, Krzeszowice mogą być stacją klimatyczną i wybornym punktem oparcia. Położone w prześlicznej okolicy, wśród pięknych gajów i leśnionych wzgórz, mają dokoła interessujące sąsiedztwo; tu ruiny Tenczyńskiego zamku, ówdele Czarna z klasztorem Karmelitów, Dębik z kopalniami marmuru, Dubie z pstrągarnią, ówdele słynne skały Zabierzowskie, osady Alwernii i Poręby, wreszcie o dwie mile Ojców i Pieskowa Skała.

Wycieczek i przyjemności nie zbraknie z pewnością.

Kto może, niech pakuje węzłki i opuszcza zakurzony gród nad naszą Wisłą; my pozostali będziemy się pocieszać, jak potrafimy i znosić ciężką dolę na miejskim bruku.

A pociechy nie zbraknie i dla nas, zwłaszcza gdy mistrz Matejko rozwinie w Salonie Artystycznym p. Ungra, olbrzymie swoje płótno, przedstawiające „Hołd pruski“ na Rynku Krakowskim złożony przez ks. Albrechta, królowi Zygmunto-owi I.

Całe trzy miesiące arcydzieło to pozostanie w Warszawie, obok „Grunwaldu“, i zachwycać będzie oczy nasze. Powiadają, iż ostatni ten utwór mistrza przewyższa wszystkie inne zaletami swemi: techniką, kolorytem, majestatyczną powagą i rysunkiem.

Przed obrazem, wystawionym obecnie w Sukienicach w Krakowie, cisną się tłumy ludu w jakimś nabożnem milczeniu i podziw otwiera im usta; słowa głośnie nie śmia przemówić, jakby wobec niezmiernego zjawiska, które zczarowało geniusz wielkiego malarza.

Szczęśliwy, kto tak na ludzkich duszach grać potrafi, jak na kregach szklanej harmonijki; kto posiada potęgę takiego zaklęcia, że przeszłość z gróbu wyrwa i wspaniała, wielką, żywą znowu stawia przed oczyma społecznych i wstrząsa nią serca i umysły całych tłumów.

To mistrz i czarodziej zarazem!...

Dla wielbicieli sztuki przygotowuje Teatr nasz także niepospolite wrażenia. Znakomity rywal Rossi'ego, włoski tragic Salvi, zjechał ma do Warszawy ze swoją trupą i dać kilka przedstawień na scenie Teatru Wielkiego. Salvi, to kolo sztuki dramatycznej — jeden z tych, co, gdy runą, to europejską scenę zawalą sobą i pozostawiają ogromną lukę, niezapełnioną tuzinami mniejszych i większych talentów. Tacy artyści jak on, należą nie do jednego już narodu, ale do całego świata i są jego chlubą; u nas może gra jego nie zachwyci, bo Salvi jest realistą, inaczej pojmując wielkie kreacje dramatyczne od swoich kolegów, ma sporą łysinę i nosi sumiaste wąsy, których nawet dla Humberta nie poświęca.

Jedna tylko fatalność psuje wrażenie przepysznej gry tragika.

Występy Salviniego są wszelako zawa-

ne przez Dyrekcyę Teatrów; jeżeli abonament cały rozebrany nie będzie do oznaczonego terminu, artysta nie da się poznać naszej publiczności i przedzie tylko przez „nieciekawą” Warszawę.

Dla honoru sceny, która miała już w gościnie najpierwsze znakomitości dramatyczne, a wreszcie dla poznania wyjątkowego talentu należałoby abonament rozebrać.

Szczęśliwe przepowiednie, co do strony merytalnej, spotykają p. Wesołowskiego, dyrektora i koncessyonaryusza przyszłego Teatru Polskiego w Petersburgu.

Od Września ma ten teatr otworzyć swoje podwoje nad Nową.

Nie chcemy wątpić, że p. Wesołowski zrozumiał obowiązek, jaki przyjął na siebie; że nie lekceważy trudności i warunków utrzymania na właściwej stopie sceny polskiej; i że postara się o to, by wystąpić, jak przystało—lub korzystanie z koncessyi odłożyć do pomyślniejszego terminu.

Przed otwarciem stałego teatru w Petersburgu Polacy tam zamieszkali znajdują wcześniej sposobność usłyszenia ze sceny rodzinnej mowy; niejaki p. Łukowicz zdobył się bowiem na oryginalną kombinacją polskiego dramatu i komedii z rosyjską operetką w Pawłowski, a dopomogła mu do tego szanowna dyrekcyja krakowskiego teatru, która komplet swoich artystów wysłała nad Nową w czasową entrepryzę p. Łukowicza.

Powiadają, że z konieczności, dla chleba, jedzie krakowska trupa do Pawłowska, bo w lecie musiałyby, przy dzisiejszych opłakanych warunkach, zawiesić zupełnie przedstawienia.

Dziwna rzecz, że nie pomyślała o gościnności Warszawy, która już od lat kilku wyrównywa deficyty poznańskiego teatru i kilku mniejszych prowincjonalnych!

HENRYK WADSWORTH

LONGFELLOW.

(Dalszy ciąg)

Urodzony 1807 r. w Portland, w Stanie Maine, Longfellow był synem uczciwej i zamożnej rodziny, nauki wyższe pobierał w jednej z najlepszych szkół Ameryki, w Bowdoin-College, i przypuścić należy, że dziecinne, młodzieńcze jego lata były szczęśliwe i od trosk wolne. Szczegółów bliższych nie posiadamy, lecz są wspomnienia porozrzucane wśród pism jego, które tak sądzić każą. We wstępie do zbioru poezyi, zatytułowanych: *Głosy nocy*, a które w porządku chronologicznym tworzenia poety, idą zaraz po *Earlier Poems*, w wierszu *Preludya*, potrąca on o te wspomnienia dzieciństwa, gdy towarzyszyli zabaw były mu drzewa stare, las szumiący tak łagodnie i słodko, kołyszący go tak rozkosznie, że młodzieniec nie może jeszcze oprzeć się urokowi tych obrazów, w zwierciadle pamięci odbitych, i zagłębiając się znowu w zielone gąszcze lasów, pragnie być i teraz jeszcze dzieckiem, marzyć, snuć jak za owych czasów, gdy go otaczała radosna muzyka przyrody: „a sound of joy”. I z żalem też słyszy głos wołający, że przeszłość nie wraca, że sen, z którego raz się zbudzimy, ulata daleko; szkoda przecież, że rozsądek, panujący nad nim zawsze, wziął i teraz górę—że nie poszedł on za tem natchnieniem, które byłoby uczyniło go oryginalnym poetą Ameryki. Ojciec chciał go widzieć prawnikiem, adwokatem, jak był sam; ale szkoła, której był uczniem, szczerząc się nim, zapragnęła go zatrzymać sobie i w 1825 roku ofiarowała mu katedrę języków i literatur nowożytnych, co zdawało się być o wiele odpowiedniejszym dla jego usposobienia zawodem. Więc przyjął, ale, sumienny i poważny młodzieniec, nie dał się uwieść próżności; więcej wy magał od siebie, niż jego dawni mistrze, zauważył, że nie dość jeszcze ma wiedzy w przedmiocie, którego miał uczyć, a głównie, że trzeba mu poznać ducha ludów, których: „uczyć kwiaty i myśli przedzę”—literaturę, miał przedstawiać innym.

Puścił się też w podróż po Europie, gdzie przebywał do 1830 r.; był we Francji, Hiszpanii, Holandii i Niemczech; czas jakiś słuchał wykładów literatury, historii i filozofii w Getyndze i wrócił do domu z pełną teką wierszy, myślą pełną wspomnień o starej Europie, której romantyzm, rozwijający się wtedy właśnie z zapalem pierwszym, przejął nawskróś jego młodzieńczą muzę. Jak niegdyś odwieczne lasy jego ojczyzny, tak teraz średniowieczne pamiątki rycerstwa, stare zamki, katedry, klasztory i miasta, grody feudalne zachwyciły jego wyobraźnię. Napisał też bardzo wiele wierszy opisowych, lub osnutych na tle wrażeń doznanych wśród miejsc i widoków, które go czarowały; jest cały zbiorek ballad, głównie skandynawskich—zbiorek noszący napis: *The Belfry of Bruges*. Jedną z najznakomitszych, wyżej cenionych prac jego: *Złota legenda*, należy do tego cyklu poezyi, które tworzył pod wpływem silnego wrażenia, wywartego na jego poetyczność przez pomniki średniowiecznej Europy.

Jak Krasinski, kocha się i on w gotyckich zamkach, galeriach, sklepianach, tylko, że kocha się inaczej niż tamten. Najważniejszą i zasadniczą różnicę stanowi rzecz ta, ogromnie i niezmiernie ważna, że Amerykanin to jest i z tej przeszłości nie rzeczywiście w serce nie bierze; ta przeszłość to nie dom jego ojców, jej pozostałość, to dla niego tylko przedmioty piękna: dekoracya do życia, jakie się tu toczyło niegdyś bystrym, huczącym strumieniem, było bujne i fantazyjne pełne, a którego obraz przegląda on teraz z zajęciem wprawdzie, z zajęciem wielkiem bardzo, lecz nietyle duchem współczującym, ile wyobraźnią artysty i obejmuje wzrokiem, zwróconym głównie na stronę piękną. *Złota legenda* to kierunku tego streszczenie, coś jak kwiat wielopłatkowy, utworzony sztucznie z różnych obrazów tego piękna, pozbieranych w długiej podróży od brzegów Renu i cieniów katedry Strazburskiej, aż do murów Salerno. Mnich Dominikanin, Włoch czy Francuz, Jacobus Veragine, spisał był w XIII wieku wszystkie zasłyszane powieści i podania o życiu i cudach świętych i błogosławionych, które wielbiciele jego nazwali z czasem *Legenda Aurea*, otóż Longfellow chciał na podobieństwo tej łacińskiej księgi rozmaite malowidła Wieków Średnich zgromadzić, dawszy im jako ramy, jako wiążące razem ujęcie legendę, przez niemieckiego minesingera, Hartmana von der Aue podaną, czy wymyśloną może. Jest to rzecz miejscami bardzo ładna, ale przypominająca niezmiernie Fausta, a niemająca ani głębokości myśli, jaka tam działa, ani tego żywego interesu, który do poetycznej fikcyi Göthego czytelnika tak wiąże, że mu każę z bohaterami dramatu wzruszać się, cierpieć, trwożyć o nich, jak o istoty żywe. Zostawiając nawet na boku porównanie, które jednak samo się nasuwa i niemal gwałtem czytelnikowi narzuca, utwór amerykańskiego pisarza nie ma niejako drogi, którą by się do żywszego zajęcia czytelnika mógł dostać; żadne gorętsze uczucie, żadna myśl potężna nie jest tu w ruch wprowadzoną. Książę Henryk v. Hohenec jest chory na chorobę śmiertelnego smutku, ciężkiej melancholii, na niechęć a raczej na niemoc życia; anieli i szatani krążą nad nim, aż zjawia się Lucifer pod postacią adepta czarnej magii, i książę mu powiada, że jedynem lekarstwem, uzdrowić go zdolnem, może być krew z żył młodej dziewczyny, która własnowolnie poświęciłaby mu życie. Jest to recepta od uczonych lekarzy z Salerno, ale on nie chce życia taką ceną kupionego i nie poszukuje ofiary. Lucifer rozprawia z nim długo, i jak Mefistofiles Fausta podnieca go do nieludzkiego czynu; jak Mefistofiles Faustowi daje zaklęty napój, w którym jest moc piekielna. Chóry aniłów płaczą, chóry szatanów cieszą się, a książę, wyklęty za użycie czarów, zamieszkuje w lesie Odenwaldu, u jednego z wieśniaczych swych lenników. Młodzieńcza dziewczeczka Elsi, przedstawia się wtedy na wybawicielkę księcia i staje się bohaterką dramatu. Przejęta litością i wiedzona tem pokornem uczuciem, które w piersiach lenników nazywało się wiernością, chce umrzeć za księcia. Niema tu przecież żadnego uczucia więcej. Elsi nie kocha tego, za którego się poświęca, zwykłą miłością namiętnej kochanki; jest to najczystsza ofiara z tkliwości

kobiecego serca powstała, heroiczne wzniesienie się dziewiczego ducha. Elsi to bardzo wdzięcznie pomysłana, sympatycznie nakreślona postać, najmiłsza też dla czytelnika. Książę Henryk waha się z przyjęciem ofiary: waha się—słabo. Popychany od szatana, przyjmuje wreszcie poświęcenie dziewczęcia, a nie działają tu nawet tajemnicze siły elixiru, nie jest to burzące się w piersi namiętnej pragnienie odmłodzonego życia, ale Lucifer, ustawicznie przebiegający się za księżką i ukryty pod kapturem mnicha, sofistyczną namową popycha słabego do zbrodni. Ofiara jedzie ze swoim katem do Salerno, płynie przez morze, przebywa długą, romantycznie prowadzoną drogę, w której poeta rozwija bogate zasoby poezyi opisowej i znajomości średniowiecznego świata, maluje obrazy często wdzięczne, niekiedy nawet wspaniałe: aż w Salerno rozgrywa się ostatecznie tragedia—zakończona sielanką. Już Elsi wchodzi poza tajemnicze podwoje, poza które ma się los jej dokonać, szatan stawia przy nich na straży; ale w sercu księcia odzywa się nagle szlachetniejsza strona jego ducha, budzi się w nim razem dzielność mężka. — Niezapóno jeszcze! — woła do szatana i w następnym obrazie Elsi w szatach księżęcej oblubienicy płynie Renem na statku o złotym dziobie; do leśnej chaty jej rodziców wstępuje niespodziewane szczęście, a potem wśród księżycowej nocy nowożeńców para mówi sobie na terrase Vautsberskiego zamku słodkie słowa miłości, w które poeta wplata ostatnią już legendę o Karolu Wielkim i jego małżonce Fastradzie, czarnoksiężnicy z cudownym, wieczną miłość dającym pierścieniem.

Malowane to jest niezmiernie delikatnie, wychodzi obrazek jakgdyby pastelowy, tak wszystkie barwy są łagodne, tony miękkie i zlewające się ze sobą w półświatle wdzięcznem, istic miesięcznej luno. Epilog — rozmowa dwóch aniłów: ducha dobrych czynów z księżką zamkniętą, i ducha złych czynów z księżką otwartą, jest też zbyt łagodnym, osłabiającym wrażenie poetyczne sceny poprzedniej, która w całym dramacie ma tylko jedno piękniejsze od siebie miejsce, a to kiedy Elsi, nocująca w czasie swej podróży w klasztorze Hirschenau wśród Czarnej Lasu, rozmawia z księżką, Irmengardą. Kobieta ta kochała niegdyś poetę, minesingera Waltera von der Vogelweide i opowiada dziewczęciu dzieje swego życia—swoję miłość, stoczoną i przegraną walkę o szczęście, po której dusza kobiety poddaje się losowi i znajduje w ciszy klasztornej ukołysanie serca zbolalego.

Takie to ładne przez smętność, łagodność, tak spokojnie rzewne, że wzrusza głębo i pozostaje w pamięci na długo!

Posiadamy bardzo staranny i dobrze oryginalny oddający przekład *Złotej legendy*, pióra profesora Jezierskiego, drukowany w *Bibliotece Warszawskiej* 1858 r. i wydany potem osobno.

Szczególnym to jest i w ogólnej charakterystyce poety uderzającym rysem, jak Longfellow skąpym jest w wyrazie uczuć miłosnych i można powiedzieć, że w chórze jego poezyi struna ta nie gra wcale, i ledwie że kilka razy odzywa się jak harfa eolska, dotknięciem wietrzyka wzruszona. Nigdy miłości gorącej, silnego, wybuchającego z piersi uczucia, nigdzie miłości, która się objawia jako pełne życia serca. W dramatach nie może L. pominąć tego wielkiego motoru spraw ludzkich; ale wiemy o niem tylko, że istnieje, skrytym on jest przecież i milczącym, nigdzie się tak nie ujawnia, aby panował i występował potężnym sercem władczą. W drobnych poezjach niema już miłości wcale, ani jednego lirycznego wierszyka, któryby był uczucia tego wyrazem, i raz tylko w *Endymionie*, pięknym wierszu, z późniejszej już epoki twórczości (1858 roku), znajdujemy osobiste słowo Longfellowa o miłości. Noe jest miłośnikiem, srebrne światło zalewa krajobraz, połykuje na wodach strumienia, przenika przez ciemne drzew gałęzie; i poeta myśli, że w taką-to noc jasną i cichą, Dyana zstąpiła ucałować usta Endymiona. Spał w gaju, nie marząc nawet o niej—i miłość nie wołana, nie marzona przyszła! Niezmem kupić, niezmem jej opłacić nie można; lecz daje się sama, kiedy chce i jak chce; żaden odgłos, żaden dźwięk nie zdradza jej, nie oznaj-

nia, że się zbliża! Przybywa, wolna, piękna, królowa wszechludzkości; z głębokiem, namiętym spojrzeniem przysuwa się do wybranego, rozchyla gałęzie drzewa życia, które cień swój naniego skupiły, i całuje zamknięte oczy seńnego.

„O zmęczone serca! o znękanie duszel wy wszyscy, których przeznaczeniem jest cierpieć samotnie, nie rozpaczajcie jeszcze.... I wam może jeszcze dostać się miłość, bo niema tak od losu przekłetej, tak od szczęścia opuszczonej istoty, któraby nie mogła zostać kochaną—której sercu nie odpowiadałoby drugie serce: nieznane, kędyś daleko bijące. Niewidzialny anioł może nagle tknąć skrzydłem swoim drżące serca tego struny, może mu nagle powiedzieć: — Dłaczego się tak ociągasz i dajesz czekać na siebie?...”

W tych słowach poety można-by widzieć rozwiązanie zagadki—przypuścić że ten, który pisał te strofy smutne, nie był nigdy kochanym, nie znalazł sobie nigdy miłości wzajemnej, a choć Longfellow był dwakroć żonatym i ojcem rodziny, jeszcze to nie dowód przeciwny, bo dramata życia płaczą się rozmaicie. Ale w takim razie, byłby on właśnie przez serdeczny swój smutek tkliszszym, i miłosnego uczuć nastroju, miłosnych tęsknot pełnym — szukał-by w świecie ideału tego, czego nie dało mu życie. U Longfellowa spodziewać się niemal trzeba takiego stanu uczuć, bo był to człowiek w stosunkach serdecznych nieszczęśliwy: tracił żony młodo, w sposób tragiczny. Pierwszą pochował w Europie, w Heidelbergu, za swej powtórną na ląd stały podróży w 1836 r., umarła nagle wraz z dziećmi, któremu życie dała. Druga, z którą ożenił się w kilka lat potem, stracił jeszcze okrutniej; obchodzono urodziny córeczki z pierwszego małżeństwa, gdy ona, młoda macocha, w gazowej lekkiej sukni przysunęła się do kominka: płomień ją objął i na drugi dzień już nie żyła.

Jest między tłumaczeniami poety z niemieckiego, smutny wierszyk: *Dwa włosów pierścienie*, który zdaje się jakgdyby malować dzieje pierwszego małżeństwa. Poeta wędrował po świecie i jak Arab rozbił swój namiot daleko na obczyźnie. Dobrze mu w nim było, snił słodko i marzył, że ma przy boku swoim ukochaną kobietę i dzieciątko wdzięczne; lecz sen to był tylko zawodny. Gdy się zbudził z niego samotny, znalazł tylko dwa włosów pierścienie!...

Jakkolwiek Longfellow nie umiał malować uczuć miłosnych, jakkolwiek w utworach lirycznych, ledwo że tknął tego przedmiotu; niemniej kobieta, miłość i wierność kobiety są u niego pojęte przez najwyższy ideał poświęcenia, czułości i wierności. *Ewangelina*, obszerny poemat, liczący się do najważniejszych dzieł poety, jest, podobnie jak *Złota legenda*, opartą na najszlachetniejszej ofierze kobiecego poświęcenia. W przedmowie spotykamy też ustęp taki:

Wy, którzy wierzycie w miłość wytrwałą, cier-

[pliwą i nadziei pełną,

Wy, którzy wierzycie w piękność i siłę ukocha-

[nia kobiety,

Słuchajcie smutnej powieści, śpiewanej przez

[leśne jodły Akadyi,

Słuchajcie dziejów miłości w krainie, która by-

[ła domem szczęśliwych!....

Ewangelina jest to poemat historyczny, i bohaterka jego nie jest fikcją poety, ale taka kobieta odważna, wierna i nieszczęśliwa żyła rzeczywistość na świecie i cierpiała pod niesłychanym okrucieństwem zwycięzcy: Anglików, dokonywających ostatecznego opanowania Ameryki dla rasy anglosaskiej. Było to w czasach, gdy Francja traciła Kanadę. Prowincja Akadyi, przezwana następnie przez zwycięzców Nową Szkocją, a którą poeta nazwał „domem ludzi szczęśliwych“, była zarazem domem ludzi gorąco przywiązanych do idei ojczyzny i narodowości swojej: to też spełniła się tu przez gwałt, chcąc jej to złamać przemocą straszliwa tragedia wygnania, zgładzenia całej ludności, siedmiu tysięcy mieszkańców! Traktatem Utrechckim oddała ją Francja Anglii; francuzcy osadnicy używali przeciw przez czas długi względnej swobody, i dopiero gdy osadnicy angielscy napływać za-

czeli, rząd począł im czynić miejsce w okolicach najżyźniejszych, najmniej dzikich, i nastąpiło tak zwane urzędnie kraju, które dało się czuć boleśnie Akadyanom. Nakazano im złożenie przysięgi na wierność Anglii, nałożono na nich powinność służby wojskowej, utrzymywanie w spokoju i uległości dla Anglii Indian, z którymi łączyła Akadyan przyjaźń sąsiedzka, aż wreszcie, gdy wojna między Francją, a Anglią wybuchnęła, dopuszczono się rzeczy bezbożnej. Nie mogąc ufać ludności podbitej i lękając się powstania z jej strony urządnego wspólnie z Indianami, dokonano tłumnego jej przesiedlenia sposobem najokrutniejszym. Lord Cornwallis, ten sam, który był następnie srogim ukróciicielem Irlandyi, dokonał czynu i był on niewątpliwie jego pomysłem dzikim. Ludowi Akadyi przeczytano jednej niedzieli w kościołach rozkaz udania się natychmiast nad brzegi morza. Otoczeni wojskiem, bezbronni, unosząc zaledwie cośkolwiek z rzeczy i majątku swego, nieszczęśliwi są pchani ku okrętom bagietami, pędzeni siłą, bo nad pojęcie ludzkie okrutnym był sposób, w jaki dopełniono rzeczy. Najpierw zebrano i pędzono młodzież, potem dopiero kobiety i dzieci, aby rozrzucić ich po rozmaitych koloniach, rozsiać między osadników angielskich. Wygnańcy w chwili ostatniej rozpaczcy chcieli stawiać opór, ale był on daremny; potem też szli już spokojnie, śpiewając pieśni pobożne i hymny francuzkie. Przesiedlenie mężczyzn dokonało się 10 Września (1755 r.); w pięć dni potem, gdy nadeszło Anglikom więcej statków kazano płynąć Oceanem kobietom i dzieciom, a wieś Akadyan została spalona.

Na takim tle gwałtów i pożogi osnuł Longfellow swój poemat. Gabryel Lajeunesse i Ewangelina Bellefontaine, córka bogatego osadnika z Grand Pré, narzeczeni sobie, zostają rozdzieleni w chwili okrutnej. Gabryel porwany jest jako ofiara pierwsza; następnie stary ojciec umiera w objęciach nieszczęśliwej córki wśród krwawej łuny palącego się ich domu; ona nakoniec płynie samotna przez morze, nie wiedząc, czy nie w stronę przeciwną tej, gdzie ma wylądować jej ukochany? A dzieje się to wespół z światła nawpół dzikiego, wczasie kiedy ludzie nie mieli ani pary, ani elektryczności na usługi swoje, kiedy nie można było rozmawiać przez telegrafy, dowiadywać się o sobie zapomocą dziennikarstwa, kiedy nieszczęśliwa kobieta, chcąc się połączyć z ukochanym człowiekiem, mogła jedynie pieszo przebywać pustynie Ameryki; i tak je przebyła bohaterska dziewczyna. Ewangelina zesłała cały Świat Nowy, od brzegów Atlantyku po fale Oceanu Spokojnego, przebywała góry, lasy, płaszczyzny bezwodne, idąc lata całe, nocując w wigwamach ludzi dzikich, mniej dzikich jednak niżeli ci, którzy ją na tę wędrowkę skazali. Puszczając się w drogę, była piękną i młodą, kiedy zatrzymała się nareszcie, nie wiedząc już o żadnym miejscu, kędy-by ukochanego szukać mogła, zwiędła już jest i znękaną śmiertelnie. Miłość jej trwa niemniej w sercu, choć wie, że sny miłosne już nie dla niej; robi się też Siostrą Miłosierdzia i po wielu latach chrześcijańskiego poświęcenia się dla cierpiącej ludzkości, już stara i zmarszczona, poznaje w umierającym starcu Gabryela. Rzecz się dzieje w szpitalu—był jak w chwili ich rozdziału, Wrzesień; ona, staruszka biedna, marzy mimowoli o przeszłości i oto odnajduje nagle jej cień. Ten umierający na słomie człowiek, to on! ów poszukiwany tak długo, ów widywany w snach, w modlitwach przywoływany kochanek jej młodości. Klęka przy nim na słomie, całuje jego usta martwiejące, kładzie głowę jego na ramieniu swoim. Ach! jakże słodkie jest światło jego oczu; ale gaśnie ono zwolna i staje się ciemność, jak wtedy, gdy lampka zgaśnie pod przeciągiem wiatru, który wskróś izby przewieje. Och, już wszystkiemu koniec....

Skończyło się już wszystko: nadzieje, trwogi,

[cierpienia,

Wszystek ból serca, niepokój, wszystka tę-

[sknota lat długich,

I wszystek głuchy żal i cierpliwości bój ciężki.

(Dokończenie nastąpi)

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Ale, jasnie oświecony panie, wyrwało się Wolskiemu—wprawdzie one się napatrzą, ale i ludzie też je widzieć będą, ciekawie się i pytać: co za jedne?

Książę się rozgniewał, podniósł, na łokciu się spierając, i odpowiedział grubym połajaniem, które Wolski przełknawszy, już odchodził,—a u progu jeszcze, chorąży mu powtórzył:

— Będziesz ty mnie rozumu uczył! Na galerii im miejsce zrobić—słyszałeś?!

Odszedł z tem Wolski.

Nazajutrz, jak dni poprzednich, przygotowywano się do inwestytury; cały dzień biegano i chodzono za różnemi drobnymi przyborami, których brakło.

Chorąży parę razy do chorągwi się swojej przykładając, aby w trzymaniu jej nabrać wprawy. Znużyło go to i znudziło; siedział nad wieczerą posępny, gdy wszedł, zawsze wesół i rozweselać usiłujący, Matusiewicz.

— Mości książę — rzekł Matusiewicz — co się książę tu ma nudzić i wędzić między czterema ścianami, czy nie lepiej do królewskiego teatrum pojechać, w którym Włochy grają bardzo pocieszne rzeczy?

— Ależ ja włoszczyznę tylko na talerzu rozumiem — oburknął chorąży.

— Nie nie szkodzi — rzekł Matusiewicz. — Książę się popatrzy na nich, co za figle wyprawiają i trochę melancholii pozbędzie. Wprawdzie nie ten to już teatr, co dawniej był, ale Casanova tażsama i kilka kobiet wcale nieszeptnych.

Chorąży nie okazywał ani ochoty, ani wstępu; Matusiewicz nalegał: kazano powozowi zajść i do Saskiego Pałacu jechać, przy którym nowy teatr był wystawiony.

Teatr, w 1748 roku naprędce zbudowany, około którego naówczas po trzechset robotników dziennie pracowało dla pośpiechu, chociaż część włoskiej jego trupy komicznej była rozproszona, przedstawiał jeszcze dawne parodie oper Metastazego i komedye, w których aktorowie więcej improwizowali, niż ściśle się trzymali tekstu sztuki. Grube i dosyć tłuste żarty, figle, niebardzo smaczne, kij nawet czasem, jako środek komiczny: niewybredną publiczność bawiły. Król dobroduszenie śmiał się z jednych i tychsamych fars, które mu lepsze czasy przypominały. Nałogowo się przyzwyczajał do swoich artystów i doskonałości po nich nie wymagał.

Comici italiani dnia tego powtarzali bardzo już ograną parodię: *Le metamorfosi odiamorose in birba trionfale nello gare delle terre amanti*. Teatr takiemi, jak chorąży ciekawymi, był przepełniony, którzy tyle co i on zrozumieć z niego mogli; ale dla nich wszystkich było to zarówno nowością. Mieli też zarazem przyjemność oglądać uśmiechnięte dobroduszenie oblicze króla, który się żywo swoim zestarzałym i zbiedzonym teatrem zajmował. Oprócz niego minister Brühl z synem, książę Karol, cały wyższy dwór saski napełniał łoże i parter, oświecony ubogo i skąpo.

Z polskich magnatów mało kogo brakło, choć ledwie cząstka rozumiała włoszczyznę tę, a mniej jeszcze—śmieszną stronę skarykaturowanych aryj poważnych oper.

Oprócz już blisko pięćdziesięcioletniej Giovanny Casanova, dwoje Focarich, dwoje Vulcanich, Toscani, Conzacchi, Noë, występowali na scenę w najdziwniejszych strojach, z gestami przesadnemi, z krzykiem zamiast śpiewu, a trzęsł tej *birba trionfale*, tak była dziwacznie niedorzeczna, że wisto-

cie do śmiechu pobudzić mogła. Rozumiejący i ci, co byli jak w rogu, za boki się trzymali, bo król jegomość się śmiał, a nie znajdować pociesznym tego, co jego bawiło, było obrazą majestatu. Nawet dosyć smutny chorąży, ruszał ramionami i twarz wykrzywił. Matusiewicz, lubiący wesołość, na wiarę jego kr. mości śmiał się potężnie.

Książę już dlatego, że się królowi mógł pokazać, nie znajdował złem, iż się do teatru przejechał, choć wrzaski, krzyki i muzyka niezwykła — drażniły go. Wodził tymczasem oczyma po sali, gdy — nagle wejście jego utknęło w jeden jej kątek przyściemiony i, zapomniawszy się kogo miał przy sobie, mocno w bok łokciem potrącił Matusewicza.

Gdy ten, pochyliwszy się, spytał o przyczynę, książę, skonfundowany, odpowiedzieć mu nie umiał. Matusiewicz tylko zauważył, że był pod wrażeniem jakiegoś niezwykłego wypadku; twarz ponura wypogodziła mu się, oczy zmrużone zdawały się uśmiechać, usta składały się, jakby do kosztowania łakoci. Oblicze obok tego rozpromienienia wyrażało zdumienie.

Pomimo obietnicy swej: odwiedzenia Faustysi chorąży, przez cały dzień niezmiennie zajęty, dojechać do niej nie mógł, i to go tak czyniło smutnym. A tu właśnie, gdy się wcale nie spodziewał już jej widzieć — zobaczył w leży siedzącą, z nieznaną sobie osobą, bardzo strojnie ubraną i poważnie wyglądającą.

Była to, jak się domyślić łatwo, pani Gilles, która wyprosiła u Zaborskiej dla Faustysi pozwolenie: zawiezienia jej na teatr, na który, dzięki stosunkom u dworu, bilety zawsze z urzędu marszałkowskiego miewała. Zaborska chciała się i sama tu dostać, lecz pani Gilles nie miała więcej nad dwa miejsca.

Przekwitła tę piękność Polskiego Wersalu znano powszechnie w Warszawie i zjawiająca się obok niej gwiazda, zwróciła oczy wszystkich.

Książę, zobaczywszy swą perelkę, ucieszył się, nastraszył, rozgniewał, lecz — był nią dumny.

— Choć-by, mości panie, wydało się do czyjego dworu należy — nie powstydzę się — nie ma sobie równej na całej sali.

W samej istocie, malowane i powiedle warszawskie boginie, przy tym świeżym wiejskim kwiatku gasły wszystkie. Chorąży patrzył, lubował się i medytował: czy ma karcić za ten wybryk Zaborską, iż córce bez wiedzy jego dozwoliła się wybrać na teatr, czy wspinałomyślnie to przebaczyć. Łaskawość przemogła, gdyż i on sam skorzystał z tego.

Ciekawym jednak był niepomierne: z kim Faustysia przyjechała; a że Matusiewicz znał wszystkich, i nie było dla niego niepodobieństwa dowiedzieć się o cokolwiekby, chorąży wskazał mu łożę.

— Widzi acindziej, tę piękną, tę piękną?

Matusiewicz znał ją z widzenia w bialskim kościele, ale udał, że nie zna — tak polityka nakazywała.

— Widzę — pewnie ta, co ma perły we włosach?

— A tak, obok niej siedzi... dowiedz mi się, co to za jejmość?

Nie potrzebował się informować wszechwiedzący Matusiewicz, bo panią Gilles znał z Białego-stoku, w którym bardzo często gościł.

Szepnął więc księciu na ucho:

— A to, białostocka niegdyś faworyta hetmana, a dziś abszytowana; nazywa się Gilles. Mieszka ona w tym dworze, gdzieś książę pan stanął na Pradze.

Chorąży zrozumiał wszystko, głową kiwnął. Doszedł na sztuce do końca, choć mało na nią patrzył, a więcej na łożę i Faustysię. Ona też z niewypowiedzianą trwogą ujrzała księcia i chciała się od jego wzroku zasłonić, zakryć — lecz miejsce szczuple nie dozwoliło. Szepnęła tylko Gilles, swej towarzysze, iż długo nie wytrzyma, że radaby ujsć — ale fiakra miały zamówionego na późniejszą godzinę, a pieszo powracać nie było podobieństwa. Musiała więc, wystawiona na przesłady jącą wzrok starca, dosiedzieć aż do ostatniego chóru i spuszczenia zasłony.

Sprawa dwojga „amantów“, jak naówczas się wyrażano, bo miłosny język tej epoki zapożyczał

się dużo z włoskiego i francuzkiego, jakgdyby przez to chciano dowiedzieć, że i owe miłości nie były w polskiej naturze i obyczaju; — sprawa dwojga „amantów“ — mówiła pani Gilles, była na bardzo dobrej drodze.

Nigdy Butrym, desperacko się puszczając do Warszawy za swą ukochaną, takich się nie mógł spodziewać sukcesów. Wszystko się zdawało mu sprzyjać. Znajomość z panią Gilles, krzywda wyrządzona bratu jego, spotkanie z Bohuszewiczem, wyszły na korzyść jego.

Przez Faustysię uwiadomiona o pośrednictwie Bohuszewicza, gorąco zajmująca się tą sprawą, pani Gilles czatowała na niego i ściągnęła go do siebie.

Być-by mogło, że przystojna jeszcze a zalotna wdówka miała na widoku i sama kogoś sobie pozyskać, służąc „niewinnej ofierze“, lecz krzątała się nadzwyczaj czynnie.

— Też nieszczęśliwej Faustysi — ja, bodajbym się narazić miała — rzekła na wstępie do Bohuszewicza — pilno mi się przypatrując — gotowam pomagać i uczynić dla niej, co tylko w mej mocy.

U mnie możecie się naradzać bezpiecznie, nawet ten kochanek widzieć się z nią tu będzie mógł, bo ja na czatach stanę, a gdyby matka nadeszła — skryję go.

— Pani masz anielskie serce — odparł z galanterią Bohuszewicz. W imieniu przyjaciela mego, nie wiem jak wdzięczność jej wyrażę.

— Idę za popędem serca — odezwała się patetycznie p. Gilles — przez całe życie moje umiałam szanować sentyment. Nie uwierzysz pan, jak będę szczęśliwą, gdy ich ze szpon tego obrzydłego starca, tyrana wyrwiemy.

Bohuszewiczowi wcale było przyjemnie z tak sentymentalną naradzać się wdówką, pocałował ją w rękę, siadł i natychmiast wielkie konsylium się rozpoczęło.

— Wszystko się zdaje składać jaknajpomyślniej — odezwał się po chwili — ale potrzeba z czasu korzystać, bo drugi raz sposobności podobnej nie znajda. Brat Butryma, który był w służbie chorążego, został tak jak odpędzony, pokrzywdzony, pała więc zemstą. I on pomagać nam będzie. Z Warszawy ucieczka łatwiejsza jest niż z Białej.

— Ja też samo powiadam — dodała p. Gilles. Matka po kilka godzin u mnie pozwalał przesiadywać Faustynce. Wrazie ucieczki, nie rychło się o niej dowiedzą, a mieć tyle czasu przed sobą — to znaczy, że nie dosięgną.

— Pani pozwolisz, abyśmy tu do niej wszyscy się zeszli, ostrożnie, po jednemu — rzekł Bohuszewicz. Naradzimy się i postanowimy, kiedy wykonać.

— Przechodźcie! proszę, a niezwłoczcie — zawołała p. Gilles — potem, gdy po uroczystości ludzie się rozjeżdżać zaczną, trudniej nam będzie — a zatem — spieszymy.

Faustysia dla wyzwolenia się od tyrana na wszystko gotowa.

Postanowiono nazajutrz zebrać się na naradę we dworze Branickich. Damazy chodził upojony, miał bowiem nadzieję widzenia się z Faustysią, a sama ta obietnica już go szczęśliwym czyniła. Potrzeba jednak było nadzwyczaj być ostrożnym, aby Zaborskiej, podejrzliwej, nie strwożyć, nie dać się jej czegoś domyślić.

Każdy ze spiskowych wsunął się osobno i pociachu, wypatrując chwilę taką, aby nikogo w sieni i na wschodach nie spotkał. Pierwszym był Bohuszewicz, który niedaleko od dworu zostawił Damazego; po nim przybył on, a naostatek Marcyan.

Wdowa była w swoim żywiole!

Intryga, spisek — porwanie, dwoje kochanków. Stary przesładowca jakby z komedii lub romansu, jej udział dobroczynny w tem wszystkim, wprawiły ją w entuzjazm niedoopisania. Przytem dwóch przystojnych młodzieńców znajomość, była też nie do pogardzenia.

Bohuszewicz, który się otarł w Lunewillu, przypadł jej bardzo do smaku.

Była za tem, aby do ucieczki wybrać dzień taki, gdy z powodu uroczystości jaknajwiększy zamęt i nieład w mieście panować będzie; książę chorąży zajęty na zamku, Wolski na Ujazdowie. Przed

wieczorem mogła się wymknąć Faustysia i sięść niewidziana, na uboczu, do bryczki.

Nim-by się opatrzone, że znikła, p. Gilles obiecywała zyskać godzin kilka. Nie obawiała się wcale przesładowania, ufając opiece hetmana, a poróżnienie się ze starą Zaborską lekceważyła.

Damazy na wszystko się zgadzał.

Bohuszewicz podniósł kwestyę: dokąd uciekać mieli? — Butrym miał na myśli Litwę; lecz zdaniem p. Gilles i Bohuszewicza droga w tę stronę była najniebezpieczniejszą. On się ofiarował znajomym sobie traktem prowadzić do Krakowa, gdzie łatwo przez czas jakiś ukrywać się można było.

Gotów był nawet swą służbę u podskarbiego Sapiiehy poświęcić.

Marcyń, rozważniejszy i niepochozny do przyjęcia pierwszego lepszego planu — milczał i słuchał. — Gdy się wszyscy dosyć o tem narozprawiali, wniósł pierwszy, iż zdawało mu się najłatwiejszem, ucieczkę wczasie polowania urządzić. Była to chwila, w której właśnie wszyscy mieli być najwięcej zajęci i zaciekawieni; tysiące ludu ciśnąć się miało nad Wisłę, na Ujazdowskie Pole. Mogła w tłumie i ścisłości idącej z panią Gilles Faustysia łatwo się wysunąć i podejrzenia-by nie obudziło, że się gdzieś zabiła. Łowy królewskie kilka godzin trwać musiały.

Wszyscy znowu przyklasnęli jego pomysłowi. Marcyń, równie jak Bohuszewicz, ofiarował się bratu i przyszyję bratowej towarzyszyć, na wypadek wszelki.

Pani Gilles także znajdowała to najrozumniejszym. W tych tłumach, ciżbie i natłoku, zginąć było najłatwiej i pogoń tego dnia była najtrudniejszą.

Stanęło więc na tem, co doradził Marcyń; szło tylko o małe szczegóły co do wykonania; te zaś mężczyźni brali na siebie. Pani Gilles ze swej strony podejmowała się wziąć pod opiekę Faustysię, a starej Zaborskiej dać swojego dawnego znajomego i przyjaciela, niemłodego już szlachcica Grobińskiego, który pięknie się ubierał, na pana wyglądał, choć był chudopacholkiem, i Zaborskiej towarzystwo jego pochlebiać mogło.

Godzinę trwała ta narada u p. Gilles, poczem Francuzka wszystkich oddaliła, śmiejąc się, a Damazemu tylko kazała pozostać, szepnąwszy mu do ucha, aby poczekał, a ona Faustysię przyprowadzi.

— Złota kobieta! — wołali wszyscy z uwielbieniem dla niestrudzonej wdówki.

Damazy nie długo oczekiwał; Faustysia zarumieniona przybiegła, a gdy ją stęskniony zobaczył, słowa mu w ustach zbrakło.

Rękę jej pochwyciwszy, przywrztał do niej ustami — Faustysi się na łzy zebrało.

— Królowo moja — rzekł wreszcie — Bóg na nas łaskaw, nawet nieszczęście się obróciło na dobre.

— A! nie wszystko jeszcze skończone — tęskno westchnęło dziewczę — mamy dopiero obietnice i nadzieje.

— Które się ziścić muszą — dodał Damazy — miejcie tylko ufność we mnie.

— Widzicie, że ja całą mam, kiedy się wam powierzam — odparła Faustyna, spoglądając na niego — ale jak tylko trafim na kościół i księdza...

— Weźmiemy ślub — aniele mój — zawołał Damazy. Dwóch świadków zabierzemy z sobą, bo brat mój i Bohuszewicz towarzyszyć nam obiecuja. Faustysia spojrziała wesele.

— A! gdyby dzień ten nadszedł prędzej — odezwała się. Trwoga mnie jakaś porywa; boję się wszystkiego.

— Nigdy się nam pomyślniej nie wiodło.

— Uciekać, uciekać! daleko! daleko! — zawołało dziewczę. Ten stary ma siłę wielką, ma wojsko, ma sługi, zauszników, pomocników, a nas — dwoje na świecie.

— I Pan Bóg nad nami! — z głęboką wiarą zawołał Damazy. — Wierzę mi, królowo moja, gdyby mi się sto razy nie powiodło nawet, pókim żyw, powrócę, poświęcę wszystko, a wyzwolię cię muszę, bo dla mnie życia bez ciebie niema.

Wśród tych czułości, stojąca na czatach p. Gilles, spłoszona czemś, dała znak Faustysi, aby do matki powracała, a Damazy pobiegł, według danej instrukcyi skryć się w sąsiednim pokoju.

Nie było się czego lękać, bo nadechodzącym właśnie, jak się okazało, był ów elegant Grobiński,

który na galerię podczas łowów, miał towarzyszyć Zaborskiej.

Damazy, pożegnawszy się, wyszedł ostrożnie ze dworu Branickich i do swojego mieszkania za Krakowską Bramą pośpieszył, gdzie się wszyscy spiskowi zjechać umówili. Tu już niewiele do czynienia mieli; Damazy ścisnął tylko i dziękował naprzemiennie, bratu i przyjacielowi, a przysłał drogę razem sobie rozpowiadali, aby jej pewnie być i nie szukać a nie błędzić, gdy pośpiech będzie koniecznym.

Nie mogła ta narada, przy wesołym usposobieniu wszystkich, obejść się bez odwilżenia jej, winem lub miodem. Damazy na wszystko zaklinał przyjaciela, aby mu pozwolił przynieść wina, bo chciał ich częstować. Zgodzono się na to i zaczęło się wypróżnianie lampek okrutne.

Marcyń pilnie ze złości i z desperacji, bo jeszcze awantury z Wolskim strawić nie mógł, Bohusiewicz z radości, że się tak dobrym ludziom przydał, a Damazy ze szczęścia swojego. Zapomnieli się tak, gwarząc głośno, podśpiewując, rozprowadzając różne anegdoty o Chorążym i Radziwiłłach, szczególnie o Krajczym, który teraz siedział w Słucku, w niewoli u brata, a był podobno tego przekonania (gdyż go w zamkniętym powozie transportowano), że się znajdował na Pradze, czy w Warszawie.

Marcyń, który, bliżej będąc Czarnawczyc, lepiej znał historię szalonego tego człowieka, liczył wszystkie jego ofiary, bo kobiet nieszczęśliwych, nie licząc najnieszczęśliwszej żony, dziesiątki rachowano w czarnawczyckiej niewoli.

Nie wątpili, że chorąży, chociaż więcej dbał o tajemnicę — za swą perelką pogonie wyprawi, lecz się spodziewali, że one ich doścignąć nie będą mogły.

Na Litwę zbiedz, było to w paszczę Radziwiłłom się dostać: stanęło więc na tem, iż do Krakowa uciekać musieli.

Prawie do wieczora siedzieli tak, głośno się rozgadując o wszystkim, a im wina więcej pili, tem mówili więcej, z niczem się nie tając.

Następowała tedy owa niewidziana oddawna w Polsce uroczystość inwestytury, w czasie której Bohusiewicz, jako dworzanin dla parady, musiał się nazajutrz znajdować w orszaku podskarbiego Sapięhy. Cieszył się barwą nową, którą mu dać musiano, bo wszyscy występowali jak z igły.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Fernan Caballero. — Wiktor Hugo „Torquemada”.

W początku 1877 roku wszystkim przejeżdżającym przez Sewillę podróżnym pokazywano przy małej uliczce Juan de Burgos, skromny domek, do którego jednak wstęp dla obcych a ciekawych był wzbroniony, szepejąc im, że to było schronienie jednego z najświetniejszych pisarzy, jakimi się naówczas szczyciła Hiszpania. Imię jego znanem było po całym świecie, — zwał się Fernan Caballero. Jego „Gaviotte”, „Lagrimas”, „Elia, ô la Espana treinta annos ha”, przekładano na wszystkie języki europejskie, a wdzięk i prawda obrazków, wziętych z natury, powszechnie były uznane. Dziś na cmentarzu stoi już tylko skromny kamień z napisem „Fernan Caballero” i właściwym nazwiskiem tego długo utrzymywanego pseudonimu: „Sra Da Cecilia Böhl de Faber y Larrea”, zmarłej w osmdziesiątym roku życia tak pięknie, tak uświęconego cnotami, tak cierpieniem podniesionego na wyżyny, że obok żywota niknie i błędnie nawet znakomity talent najpopularniejszego z romansopisarzy hiszpańskich.

Trudno się powstrzymać od skreślenia, choć po-bieżnemi rysami tego obrazu doli niewieściej, z pogardą na czołe dźwiganej aż do lat osmdziesięciu.

Dostarcza nam do tego materiału świeżo wydana biografia, przyłączona do tłumaczenia francuskiego dwu ostatnich, pośmiertnych prac Fernana Caballero, przez hrabiego Bonneau-Avenant¹⁾. Ojcem tej przyszłej Hiszpanki, był kupiec, rodem z Hamburga, osiadły w Kadyksie, p. Böhl de Faber; a miejscem urodzenia się jej w czasie podróży rodziców — Szwajcarya. P. Böhl, oprócz swojego handlu, zajmował się literaturą i był człowiekiem znakomicie wykształconym. Matkę miała Hiszpankę. Młodość najpierwszą spędziła w Andaluzji, lata następne w podróżach z rodzicami po Niemczech i Anglii. Ojczyznę serca pięknej córki Hamburgczyka był Kadyks. Tu rodzice żyli w dostatkach i wiodło się im w początkach bardzo szczęśliwie.

Młode, bardzo piękne dziewczę, w 1816 r. było już, zbiegiem okoliczności, wydane za mąż, za kapitana Planels de Bardaxi, który, jak się później okazało, ożenił się tylko dla okazania młodzieży, z którą żył — że w kilka dni może zdobyć rękę najpiękniejszej z panienek w Kadyksie. Wyszła za niego — przez uległość rodzicom, którzy, wydając ją za młodego, majątnego, do najlepszego towarzystwa liczącego się człowieka — losu, jaki ją miał spotkać — przewidywać nie mogli. Planels był najniegodziwszym z ludzi. Ożeniwszy się w skutek zakładu z kolegami, uwiózł natychmiast żonę na Wyspy Antylskie, gdzie się z nią obchodził w sposób najokrutniejszy, urągając łzom, zamykając i trzymając w więzieniu. Szczęściem, dziki ten człowiek wkrótce zabity został w potyczce, a Cecylia została wolną. Z nadwreżonym zdrowiem, opłakując tego męża, który był dla niej katem, powróciła wdowa do rodziny.

Po upływie lat kilku, z mnóstwa starających się o rękę młodej i bardzo pięknej Cecylii, wybrany przez rodzinę i godzien wyboru, ożenił się z nią, officer gwardyi, markiz Arco-Hermoso.

Ale przeznaczeniem było tej niewiasty, uzbrojonej siłą wielką ducha, aby tylko zmieniała — cierpienie. Szczęśliwe ze wszech miar małżeństwo zatruli napróżd nieprowodzenia handlowe, ruina, potem choroba piersiowa męża, z którą potrzeba było walczyć, którą udało się na pozór uleczyć, lecz ostatecznie wróciła ona po swoją ofiarę. Szczęśliwe małżeństwo musiało się z tego powodu rozdzielić; połączone potem, żyło w ciągłej obawie. Lekarze, znajdowali, że markiz mógł być ocalonym, gdyby dostał skórnej choroby, która-by na zewnątrz wywołała reakcję. Sam on miał obrzydzenie przeciwko środkowi temu. Żona, nie mówiąc mu o tem, przez jakiś czas nosiła koszulę trędowatego, aby dostać choroby i zaszczerpić ją mężowi. Szczęściem, nie powiodło się jej to poświęcenie tak wielkie — choroba się nie przyjęła, ale markiz zmarł z suchot. Przez dwa lata żona nie odstępowała chorego, który na jej rękę życia dokonał w 1835 r.

Sieroctwo pozostało najokropniejsze: nie miała dzieci, sama na świecie; niezamożna, z chrześcijańską rezygnacją musiała dalej nieść brzemień życia. Markiz nie miał czasu uczynić żadnego rozporządzenia, bo doostatka, jak wszyscy suchotnicy, łudził się, że ozdowie; po śmierci jego zmuszona była opuścić pałac, wyrzec się dostatków, zniżyć z zajmowanego w społeczeństwie stanowiska. Cecylia powróciła do rodziców, którzy po stracie majątku mieszkali przy drugiej córce, p. Osborne, w Port-Sainte-Marie.

W następnym roku straciła ukochanego ojca, którego była najmilszą uczennicą. On-to jej wszczepił zamiłowanie literatury, którą wśród tych boję i smutków zajmować się zaczęła.

Raz jeszcze, ulegając naleganiom rodziny i wielkiemu przywiązaniu a czi, jakie miał dla niej młody i zący Don Antonio Arrom de Ayaza, konsul hiszpański w Australii, poszła z nim do ołtarza. Ale, szczęścia nie miała nigdy skosztować na ziemi. Choroba piersiowa zmusiła napróżd jej męża zmienić klimat i żonę zostawić samą, potem

ruina majątkowa obłąkanie sprowadziła i samobójstwo.

Rozpacz jej w początkach, religijnem tylko uczuciem hamowana, nie znała granic, chciała wstąpić do klasztoru Karmelitek i tylko prośby przyjaciół, szczególnie księżny de Montpensier, wstrzymały ją od tego kroku.

Była już naówczas rozgłosnie znaną jako Fernan Caballero, chociaż bardzo niewielka liczba osób wtajemniczonych wiedziała, kto się pod tym pseudonimem ukrywa. Pierwsze jej obrazki z życia ludu w Hiszpanii uczyniły nadzwyczajne wrażenie. Nie szukając chluby ze swego talentu, nadzwyczaj skromna, Da Cecilia do ostatka dni swoich, oprócz małego gronka przyjaciół, przed nikim się nie przyznawała do dzieł swoich; otaczała ją współczuciem serdecznem i opieką rodzina królewska, księstwo Montpensier, i ich prośbom ulegając, przeniosła się biedna osamotniona do Alkazaru w Sewilli, gdzie miała wyznaczone mieszkanie i cudny ogród pałacu, do swobodnych przechadzek.

Tu, starając się boleść wspomnień przewyciężyć, nie odrywała się już od pracy. Naprzemiennie przebywając w San-Lucar, Xeres, Port-St.-Marie i Alkazarze, malowała z natury te urocze obrazki, w których Hiszpania przeglądała się, jak w zwierciadle.

W Sewilli, d-a Cecilia przyjmowaną była z nadzwyczajną sympatią, a salon jej w Alkazarze gromadził najświetniejsze towarzystwo dokoła tego stolika, przy którym z nieodstępną pończoszką w rękę uśmiechała się sześćdziesiątletnia, zawsze jeszcze piękna, zrezygnowana, łagodna starszka.

Rewolucya 1868 r. wygnała ją z tego spokojnego schronienia; nowy rząd sprzedawał domy do Alkazaru przytykające. Naówczas przeniosła się do małej kamieniczki przy uliczce Juan de Burgos, a wierni jej przyjaciele poszli za nią. Nie poskarżyła się nawet na ten nowy zwrot losu i zajęła skromne pokoiki, w których życia dokonała.

Przyjaciół d. Cecylii, don F. de Gabrich, tak w tych latach opowiada o niej i jej nowem schronieniu:

„Wszyscy ci, których ona przyjaźnią swą zaszczycała, bez rozróżnienia wspomnieć nie będą mogli tego gabinetu-pracowni, pełnego woni kwiatów, urządzonego z równem staraniem jak smakiem, w którym zwykle przesiadywała w Alkazarze. W domku nowym tażsama czystość, ten sam wdzięk cechował skromny kątek, do którego ciągnęli wierni jej czciciele.

„Strój jej był zawsze jaknajprostszy, a stół jaknajskromniejszy. Latem chodziła w sukni perkalowej, a jadła raz tylko na dzień. Nigdy nie zapominała jedynej słudze swojej zalecać, aby kupowała dla niej (lo pèor) co było najgorsze. Zadawała sobie nieskończoną pruwacę, aby więcej móżd dawać ubogim, a to, co jej przynosiło pisanie, szło prawie wszystko dla nich.

„Umiała cudownie odkrywać rodziny podupadłe, a wstydzące się zebrać, wspomagając je w sposób taki, aby miłości własnej najdrażliwszej, nie dotknęła.”

„Cecilia Böhl, — pisze o niej de Amicis, — jest niewiastą takiej siły ducha, że mogłaby jak św. Ignacy wytrzymać najokrutniejsze męczeństwo.

„Pomimo to, niema cienia złości, ani w jej duszy, ni na ustach, ani w życiu; uprzejma, dobra, miłosierna dla wszystkich, czczona jest w Sewilli jak święta.

„Ma już teraz lat przeszło siedmdziesiąt, i wiadać, że bardzo piękną być musiała; powierzchowność jej, pełna powagi i pogody, nosi jeszcze niezatarte ślady przeszłości. Umie doskonale po łacinie, a mówi z łatwością, powłosku, po francusku i po niemiecku. Dziś już nie pisze, choć wydawcy hiszpańscy i amerykańscy naglą ją i proszą; ale nie jest bezczynną: od rana do wieczora czyta ciągle różnego rodzaju książki, a studia te literackie weale nie wpływają na jej własne usposobienie i utwory. Nie ma dzieci i żyje samotna w domku, którego znaczniejszą część odstąpiła ubogiej rodzinie. Wszystko, co ma, rozchodzi się na jałmużny. Ciekawym rysem jej

1) Deux nouvelles andalouses posthumes de Fernan Caballero précédées de sa vie et ses oeuvres par le C. de Bonneau-Avenant, Paris, 1889, Ploa 8-vo, 326 pp.

charakteru jest przywiązanie do zwierząt. Dom pełen ptactwa, kotów, psów, i — wiadomo, że powozem nie jeździ nigdy, aby nie słyszeć wstrętnego smagania koni. Bolesć cudza dotyka ją, jak własna. Widok ślepego, chorego, nieszczęśliwego, z jakiegokolwiek bądź przyczyny, męczy ją po dniach całych i nie daje spoczynku, dopóki nie przyniesie pociechy i ulgi.

(Dokończenie nastąpi)

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Ustawa dla Schronienia Nauczycielek w Warszawie została potwierdzoną przez władzę.

W liczbie 320 członków, zawiązującego się w Warszawie Towarzystwa pomocy dla niezamożnej uczącej się młodzieży, znajdują się kobiety, a mianowicie: p. p. Jadwiga Łuszczewska, Marya Ilnicka, Walerya Marenné, Marya Olendzka, Michalina Zalewska.

Echo Łomżyńskie donosi o szczęśliwych skutkach zajęcia się zacnych pań łomżyńskich szpitalem tamtejszym. Miesiąc czasu upłynął od chwili, gdy to dobroczynne zajęcie w czyn weszło i bez przerwy odbywały się codzienne dyżury dwóch opiekunek, czuwających osobiście nad wykonywaniem zleceń lekarza, czystością w kuchni i na salach, nad wydawaniem pożywienia i bielizny dla chorych, i nie tylko ci biedacy zyskali na tem, sam zarząd szpitala okazuje się wielce z tej pomocy opiekunek zadowolonym. Po upływie pewnego czasu, zebrały się opiekunki na wspólną, co do dalszego postępowania naradę, skutkiem której było podanie wniesione do Rady Opiekunów Zakładów Dobroczynnych, o urządzenie w salach szpitala wentylatorów, o możliwe usunięcie z nich wilgoci, umieszczenie krzyżów i zegarów, wzmocnienie dziś niedostatecznej obsługi felczerskiej, wreszcie o dostarczenie żywności do szpitala drogą licytacji. Zgromadzone panie wybrały też z łona swego komitet, który decydowałby w kwestyach, zająć mogących między opiekunkami szpitala, jego zarządem, oraz Radą Opiekunów. Do komitetu weszły pp. D. Bronikowska jako prezydująca, M. Niepokojczycka jako kasyerka, J. Smiarowska, M. Zembrzuska i Starzeńska. Zgromadzone opiekunki złożyły na ręce kasyerki tak zwaną składkę groszową, na osobne wydatki szpitala, jako to: na wsparcia udzielane rekonwalescentom, ze szpitala wychodzącym, na zaopatrzenie szpitala w łyżki, noże i widelce i t. d. Panie, które, nie należąc do grona opiekunek, przychodzą jednak z dobroczynną dla szpitala pomocą, składki swoje wnoszą mają na ręce p. Maryi Niepokojczyckiej.

Dobroczynną działalność pań łomżyńskich zapisać należy złotemi literami w kronice naszej dobroczynności publicznej; bo jest tu nieczem nieopłaconą ofiarą osobistych trudów, jest tu poświęcenie rzeczywiste chrześcijańskie, jest tu cnota miłosierdzia, która jedynie skłonić może do zawsze przykrego, smutnego zetknięcia się z cierpieniem i nędzą. Jakże to więcej, jak niezmiernie więcej, niż na ubogich tańcować, grać lub śpiewać, jak nawet dać na ubogich grosz, choćby od rzeczywistych potrzeb odjęty. Niech to jednak nie będzie wzjętem w znaczeniu ujmę dla tych innych opiekunek szpitala, które taką tylko pomocą cierpiącej ludzkości służą; bo są położenia i stosunki rodzinne, prace wychowywania dzieci, w których oderwanie się osobiste od obowiązku, byłoby grzechem. W społeczeństwie ludzkim muszą być Marye i Marty, miłość musi się rozkładać na barwy różne, jak światła na promienie, i byle nie było egoizmu, byle było podniesienie się nad samolubne siebie ukochanie, wszędzie jest cnota i zasługa.

Muzeum Przemysłowe ma rozpocząć przygotowania do Wystawy Pracy Kobiecej, która odbędzie się w jesieni r. b. Wspominaliśmy już o wystawie poprzednio, jednak aż do tej pory nie była ona ostatecznie postanowioną. Obecnie przecież jest już pewność, że wystawa ta odbędzie się w czasie wskazanym w salach pałacu Brylowskiego, a

zarazem, że zostanie połączona z wystawą pedagogiczną, co ustrzeże ją z konieczności od bardzo ważnego braku, jaki zarzucić było trzeba wystawie poprzedniej. Wśród pracy kobiecej widnieć będzie jej dział najpierwszy, najważniejszy, najwyższy: praca wychowawcza matki i nauczycielki. Czy tylko ogłoszenia urzędowe o Wystawie nie będą spóźnione, czy nie zakrótki będzie czas, aby wystawczynie przygotowały się odpowiednio co do okazów, które przedstawić zamierzają? Tak przypuścić można.

Do komitetu Wystawy Inwentarza na Placu Ujazdowskim zgłosiło się wystawczyń cztery. W dziale koni hr. Marya Potocka zapowiedziała sztuk 11, hr. Marya Stadnicka sztuk 4; w dziale bydła rogatego hr. Katarzyna Platerowa sztuk 16; w dziale trzody chlewnej p. Izabella Ryx sztuk 59. W dziale drobiu ta sama pani zapowiedziała kaczek 75, kur 100. Może więcej zapowiedzeń nadejdzie jeszcze, gdyż termin składania deklaracji pod tym względem został przedłużony do d. 15 Maja; teraz przecież w tych działach wystawy które rzeczywiście przypadają na dział gospodarstwa kobiecego, mamy wystawczynią jedną — jedyną na kraj całą!

Pierwszą gospodę chrześcijańską w okolicach Skalmierza założyła we wsi swojej Ziemblinie, p. Anna Linowska, dając jej pomieszczenie, zaopatrując w sprzęty i naczynia, w pierwszy zapas kawy, herbaty i cukru, oraz w książki i zaprenumerowaną jej kosztem *Gazetę Świąteczną*.

P. Marya z Cichockich Piotrowska z okolic Sandomierskich zaprowadziła we wsi swej dobroczynny obyczaj. Każda panna młoda, która zechce i potrafi dokazać, że na jej weselu nie będzie wódki, dostaje ze dworu sto złotych. Nie obowiązują to nowożeńców do zupełnego wyrzeczenia się wódki, lecz usiłuje tylko usunąć pijatykę weselną, która bywa i nadmiernie kosztowną i demoralizującą. Czy jednak zupełne usuwanie wódki z gospód ludowych i obrzędów uroczystych doprowadzi do celu, jaki zamierzają sobie osiągnąć szlachetni pracownicy na polu moralności ludowej? — to pytanie, nad którem trzeba by się zastanowić uważnie.

Z rozwojem wyższej nauki kobiecej w Anglii, rozwija się tam równocześnie wielka troskliwość o domowe pomieszczenie studentek, które, jakkolwiek mogą się równać ze studentami pod względem nauki, przecież w życiu codziennym potrzebują warunków innych, odpowiadających kobiecości młodej. To też gdy londyński uniwersytet otworzył się dla kobiet, gdy Kobieta Szkoła Medyczna utrzymała się i ma stale znaczną liczbę studentek, jak również wyższa szkoła sztuk pięknych, oraz akademie sztuk i akademie muzyczne ludzie zajmujący się kwestyą wyższego wykształcenia a razem moralności kobiecej, postanowili wzniesieć w pobliżu Londyńskiego Uniwersytetu dom mieszkalny dla studentek, „Hall of residence for women students“. Dom ten, dający pomieszczenie, stół i odpowiednią opiekę, przyjmować będzie pensyonarki mające siedmnaście lat skończonych i odpowiednio co do osoby swojej legitymacje. Za cenę 28 do 35 szylingów tygodniowo pensyonarka będzie mieć obfity pokarm i pokój oddzielny, oraz używanie wspólnego salonu i biblioteki. Dom będzie zostawał pod zarządem i przewodnictwem ochmistrzyni, kobiety starszej i odpowiednio wykształconej, która w pewnych oznaczonych godzinach przyjmować będzie żądające tego studentki, czy-to w celu porozumienia się co do osobistych jakich potrzeb, czy też co do pomocy naukowej i lekcji prywatnych, jakiby pensyonarka popierała chciała. Podobny temu zakład istnieje już od lat trzech w Londynie, tylko że w innej dzielnicy miasta, na Bloomsbury, i jest wciąż zamieszkały przez studentki rozmaitych wyższych zakładów naukowych.

Siostra Gray, ze zgromadzenia angielskich Sióstr Miłosierdzia, niosąca swoje miłosierne służby na plac boju w Afryce Południowej, otrzymała od officerów i lekarzy wojskowych afrykańskiej armii, dar wdzięczności: bardzo kosztowny zegarek ze złotym łańcuchem i srebrną szkatułkę z przyborami do pisania. Wryty jest na niej napis: „Najszlachetniejszemu poświęceniu kobiecego uczucia“.

Pod przewodnictwem Wiktorii Corroy zawiązało się w Paryżu stowarzyszenie robotnic. Honorowym prezydentem jest Wiktor Hugo.

Sejm kroacki przyznał kobietom prawo zasiadania w radach municypalnych. W roku zeszłym przyznano im głos w wyborach do tychże rad.

Król włoski obdarzył niemiecką panią, Emmę von Wolfskeel-Reichenberg, znakiem zasługi za mężstwo na morzu: „Medaglia al valore di Marina“. Zeszłego lata, w d. 15 Sierpnia, pani ta przebywająca na Ischia, popłynęła w towarzystwie siostry i czterech mężczyzn na morze, małą żaglową łodzią, którą, gdy przy burzącym się morzu, sternik chciał zwrócić w stronę lądu, a ruchu tego dokonał za szybko, gwałtowny powiew wiatru skreślił nagle żagiel i łódź wyrzucił. Wszyscy wpadli w wodę; a noc już była blizką i rozbitki, walcząc wśród zmroku z falami, nawoływali się głosem, aż udało im się uchwycić za przechyłony bok łodzi i tak wisząc, przekonano się, że brak jest tylko jednej osoby, kapitana G., oficera z armii włoskiej, który pływać nie umiał. Lecz w tej chwili nadchodzący balwan, znów łódź porwał i przewrócił, wszyscy znów znaleźli się pod statkiem, którego liny utrudniały nieszczęśliwym wydobyć się na wierzch. Raz wszakże jeszcze zdołali to uczynić jednak i teraz można się było tylko boku łodzi uchwycić, a znajdowano się na pełnym morzu i srożąca się teraz burza, nie pozwalała przypuszczać tej nadziei ratunku, aby jaka łódź rybacka przyszła z pomocą. Ziemia była odległą o 7 kilometrów, przecież przewodnik zapewniał, że ktoś mocny a umiejący dobrze pływać, mógłby w cztery godzin dopłynąć do Ischia i pomoc sprowadzić. Wtedy młody officer z inżynierii, porucznik B. postanowił ważyć się na ofiarę, popłynął, ale, niestety, już nikt go nie ujrział.

Tymczasem zapadła noc zupełna, po pewnym czasie wszedł księżyc i oświecił smutną grupę rozbitków, która była przecież umniejszoną jeszcze o jedną ofiarę, gdyby nie poświęcenie, nie siły wytrwałej kobiety. Między rozbitkami był jeszcze jeden officer włoski, człowiek słaby, który dla leczenia się z cierpień, sprowadzonych mu przez rany dawne, przybył na Ischia i używał tamtejszych kąpeli gorących, a teraz już się uczuł tak wyczerpanym, że tylko pomoc starszej z dwóch pań, Emmy Wolfskeel, uratowała mu życie, jej drobne ręce kobiece utrzymywały go, gdy już słabnął, a nawet więcej: widząc, że nieszczęśliwy nie wytrzyma już dłużej bicia fal, ustąpiła mu swego, jakoś więcej przez występ dziobu łodzi zasłoniętego miejsca. Trwało to godzin siedm, świtem spotkała rozbitków łódź płynąca ku wysepkom Ponza, zabrała na swój pokład; niemniej głos wszystkich świadków przyznał zasługę uratowania ludzkiego życia bohaterskiej kobiecie, której też przyznano za to znak zasługi.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

† Karol Darwin.

Zmarł ten największy z przyrodników nowożytnych, twórca nowej teorii o życiu natury organicznej, człowiek, którego imię do najpóźniejszych pokoleń przejdzie. Znaczenie Darwina, nie tylko dla nauki, ale i dla całej umysłowości mu współczesnej było tak wielkiem, że pod wpływem jego teorii ludzkość rozdzieliła się na dwa walczące obozy, a rozprawiali o nim nawet ciemni i maluczcy, nienawidzili go tysiące tych, o których istnieniu on, mąż cichej a wielkiej pracy, wcale nawet nie wiedział. Nienawisć ta przechodziła wszelkie granice: wyklinano go i przeklinano; znany wypadek, w którym wzgardę dla człowieka i jego nauki posuwano do tego, że psom nadawano jego nazwisko. Cóż zrobił tak straszliwego ten człowiek? Oto wzbogacił naukę jedną z najświetniejszych i najgłębszych hipotez, hipotezą opartą na podstawie olbrzymiego doświadczenia i niepamiętnej wiedzy. Po próbach

organicznego wytlómaczenia życia przyrody, ciągnących się jeszcze od końca XVIII w. Darwin pierwszy postawił naukową, metodycznie zbudowaną teorią o stopniowym, przez miliony lat, rozwoju istot organicznych na ziemi, obalił pojęcie *gatunku*, jako niewzruszonego, niezmiennego typu przyrody, i wprowadził pewniki naukowe: poczynania się istot od komórek, wpływu otoczenia na istotę, walki o jej byt (*struggle for life*), doboru, zmiany stopniowej i dziedziczności. Według tej teorii cała przyroda organiczna powstała z kilku pierwotników, kilku komórek. A z kąd się te wzięły? Darwin nie odpowiada, jak nie odpowiadał Lăplace: z kąd się wzięła materya kosmiczna? Pytania takie nie należą już do nauki.

W wygłoszeniu hipotezy stopniowego rozwoju natury poprzedziło Darwina kilku myślicieli filozoficznych, a najpierwszy z zaznaczonych w historii genialny Empedokles. W XVIII w. i na początku XIX na polu, z którego Darwin obficie zebrął żniwo, pracowali Lamarck i Geoffroy; Herder wygłosił domniemanie filozoficzne, że przyroda nie mogła się odrazu zjawić taką, jaką ją widzimy; nasz Jędrzej Śniadecki w „Teorii jestestw organicznych“ niejedną znakomitą myśl pod teorią rozwoju rzucił; Lyell dał nowej nauce geologiczną podstawę; znakomici botanicy tego wieku drogę uczoneму angielskiemu utorowali; przed samym Darwinem Wallace badania swoje w podobny jak on sposób do wyrozumienia natury spożytkował; ale Darwin, pomimo tych wszystkich poprzedników swoich i obok nich, stoi samoistnie; wszystko wziął z samego z siebie, z własnych badań i doświadczeń, których nikt chyba przed nim w takiej liczbie, z taką metodycznością, z takim szlachetnym uporem rozum, z bystrością i głębokością poglądów, nie przeprowadził. Ta doświadczalna podstawa nauki Darwina — jest właśnie główną jej siłą i wielkością.

Co zohydziło Darwina wobec tych wszystkich, którym obrona niezbywalnego skarbu ludzkości: wiary w ducha i wyższość jego nad materyą i żyjącą bezwiednie przyrodę — leżała bardzo gorąco na sercu, ale nie kształtowała się dość rozumnie w umyśle? Oto pojęcie *walki o byt*, jako prawa świata ludzkiego, i teoremat o *pochodzeniu człowieka od małpy*. Ależ Darwin ani takiego pojęcia, ani takiego teorematu nigdzie nie postawił! Z jednym i z drugim wyjechali hałaśliwie jarmarczni jego zwolennicy, ludzie niepracujący ściśle w nauce i dla nauki, dylettanci i krzykacze. Gromy idealistów na Darwina są niepojęte i dowodzą: najpierw nieznajomości rzeczy, a potem bezsilności własnej gromiących — bezsilności, bo jeżeli *walka o byt* jest czymś zdrożnym, zaraźliwie udzielającym się od przyrodznawstwa filozofii, należało powitać ją i zburzyć argumentami własnej swej prawdy; przeciwstawić teorii przyrodznawczej, potężniejszą od niej teorią filozoficzną; a nie napadać na człowieka, który nikomu nie wydierać nie chciał, nic nie wydarł, niczego nie pogwałcił, a jako poszukiwacz prawdy, pomimo błędów swoich i jednostronności wynikłej z zapалу dla nauki (w *Descent of man*), na błogosławieństwo tylko sobie zasłużył.

Twierdzenie, że teoria rozwoju niszczy wiarę w Boga i w Stworzenie jako dzieło rąk boskich — jest jaknajfałszywszem. Właśnie postawienie stopniowemu rozwojowi kresu, od którego się zaczął, zostawia doskonałe miejsce i Bogu i stworzeniu. Darwin z chwilą, w której nierozstrzygniętem zostawia pytanie: z kąd wzięło się kilka owych pierwotników, praojców natury dziś rozwiniętej? — *eo ipso* niemoc swą zeznaje, ustępuje przed teologią i wiarą, i wiekuisty idealizm do działania wzywa. Miałaby Bóg cośkolwiek z wielkości swej utracić przez to, że nie będzie stwórcą wszystkich zwierząt, wszystkich drzew, wszystkich kamieni dziś istniejących, ale tylko pierwot-

nych owych kilku typów, związków wszechistnienia ziemskiego? Czyliż mniej cudowności jest w owych pierwszych komórkach, tak genialnych, że z nich mógł się rozwinąć cały ten wspaniały ogrom, na jaki dziś patrzymy, niż w gotowych już rozwiniętych, mechanicznie powyprowadzanych i poustawianych jestestwach? Nie jestże stworzenie takich komórek większem stworzeniem, a Bóg, który je wyprowadził, większym Bogiem — niż w dotychczasowej naiwnej wierze tłumów? Dla nas wątpliwość jednej chwili istnieć nie może: stwórca pierwszej komórki Darwina jest przynajmniej równie wielkim, jak stwórca z Genezy; jest panem, przed którym na twarz padam tak samo, jak kiedy patrzę w nieskończoność światów niebieskich, w bezmiar niebios, w słońca słońce, w cały łańcuch bytu, którego pierwszego i ostatniego ogniwa nigdy umysłem moim nie dojrzę. Czas już skończyć jeremiady, a gromy i pioruny pochować; czas oddzielić królestwo nauki, wiedzy, od królestwa serca: każde z nich bez szkody dla siebie w pokoju z drugim żyć może, ale żyć powinno osobnikowo, samoistnie, jako oddzielne mocarstwo. Obowiązkiem ich nie jest wojna, ale trwały pokój, wiekuiste zaczepno-odporne przemyśle. Oba te mocarstwa mają licznych a wspólnych wrogów: ciemnotę, fałsz moralny i umysłowy, zabobon, przesad, przemoc i lenistwo — tyle potęg nieprzyjajnych: nie ze sobą zatem, ale z niemi walczyć powinny. Dla głupców tylko nauka jest nieprzyjaciółką ideału: ideały rozumne znajdują w niej podporę i siłę.

Karol Robert Darwin wnuk znanego w nauce i literaturze angielskiej XVIII przyrodnika, lekarza i poety, urodził się 12 Lutego 1809 r. w Shrewsbury w Anglii. Po skończeniu nauk akademickich, cały oddany historii naturalnej, w r. 1831 przyjął udział w wyprawie naukowej na okręcie *Beagle*. Opłynął całą ziemię i w badaniu ustawicznym przyrody zebrał pierwsze dane do swojej teorii. Powróciwszy w r. 1836 do Anglii, w trzy lata później wydał *Opis tej podróży*. W r. 1842 pojawiło się pierwsze dzieło Darwina *O rafach koralowych*; w tym samym roku wyszła rozprawa *O wyspach wulkanicznych*; w trzy lata później *Spostrzeżenia geologiczne nad Ameryką południową*. Darwin mieszkał już wówczas w Downe pod Londynem, gdzie prowadził umiędzynarodowienie cierpliwe a pomyślne doświadczenia nad zagadnieniami dla biologii najważniejszymi: jak się wytwarzają organizmy, jak się zmieniają osobniki i powstają gatunki? Wyniki niektóre badań swych ujawniał w licznych rozprawach, w monografiach; ale, sumienny i skromny, nie poszedł za pierwszym porywem myśli i długo ociągał się z wygłoszeniem swej teorii: aż dopiero ośmielony przez Wallace'a, zasadnicze dzieło swoje, owoc dwudziestu kilku lat pracy, ogłosił. Dzieło to wyszło w r. 1859 w Londynie, a ma tytuł: *On the origin of species by means of natural selection* (O pochodzeniu gatunków, za pomocą wyboru naturalnego). Tem dziełem zrobił Darwin przewrót w biologii. Dopelnieniem *On the origin...* są wydane w r. 1866 *Variation of animals and plants under domestication* (Zmienianie się zwierząt i roślin pod wpływem hodowli); 1) w r. 1871 *The descent of man, and on selection in relation to sex* (Pochodzenie człowieka i dobór we względzie płci). Wreszcie w r. 1872 *Expression of the emotions in man and animals* (Wyrażanie się wzruszeń w człowieku i w zwierzętach). Wszystkie te dzieła przełożone na wszystkie języki europejskie znajdują się też i w przekładzie polskim; przekład wszakże *O zmienianiu się roślin i zwierząt* dotychczas nie ujrzał druku. W tych dziełach jest cały Darwin; późniejsze mają szczuplejszy już zakres i dodatkowe,

1) Tytuł oryginału jest pełniejszym.

w stosunku do zasadniczej teorii, znaczenie. Wystał w nich Darwin życie roślin owadożernych, roślin pnących się, robaków ziemnych; musiał pracować i w innych jeszcze działach, a pracował prawie do samej śmierci. Był niestrudzoną w pracy, przy takich zaś darach umysłu, takiej miłości, takiego zapалу, jak w nim, trudno by w kiminnym ze współczesnych dopatrzeć. Cichy i skromny, jako człowiek poprzestawał na pociechach rodzinnych; jako uczony, zadawał się samą prawdą i przeświadczeniem o niej; nie lubiąc hołdów od przyjaciół, był pobłażliwym dla przeciwników — rozsianych na całej kuli ziemskiej. Jednemu z reporterów napisał biografią swoją w wyrazach: „Jestem Karol Darwin; pracuję i uczę się“. Przeklinany za niereligijność, miał duszę czującą Boga w świecie, a ściany jego gabinetu zawieszane były wyobrażeniami Drogi Krzyżowej i Męki Pańskiej. W domu, w którym mieszkał przez lat 40, miał swoją stacyą doświadczalną, miał tu również pracownię, z której tyle wielkich prawd dla nauki wyszło; ztąd zabrała go śmierć dnia 19 Kwietnia r. b., zostawiając tylko prochy, które wdzięczni ziomkowie w tydzień po zgonie wielkiego człowieka w Westminsterze złożyli.

Wyborny przekład niemiecki wszystkich dzieł Darwina wyszedł w Sztutgardzie, w 10 tomach.

Professor Wrześniowski w czasopiśmie *Wszelch-swiat* (Nr 5), wychodzącym w Warszawie od d. 1 Kwietnia r. b., zaczął ogłaszać Wspomnienie pośmiertne o Darwinie.

† Walenty Dutkiewicz.

Dnia 21 Kwietnia roku bież. zmarł w Warszawie jeden z najznakomitszych prawników polskich, Walenty Dutkiewicz, człowiek głębokiej nauki i wielkiej prawości. Dziecię niezamożnych rodziców, urodzony w Galicji, jeszcze w r. 1798, wychowany przez wuję swego, po ukończeniu uniwersytetu w Warszawie, w 1822 r. rozpoczął służbę w sądownictwie Królestwa jako aplikant, a dzięki zdolnościom swoim, pracy i naukowoci, ukończył ją w czterdzieści lat później jako senator, b. członek Rady Stanu, b. professor Szkoły Głównej, członek Najwyższej Kommissji Examinacyjnej i Rady Wychowania Publicznego. Na urzędach swoich był nieskazitelnym, jaśniał prawością i umiejętnością, przykładem swoim podnosił i uszlachetniał. O życiu jego można prawdziwie powiedzieć, że było bez plamy. Działalność jego publiczna w Radzie Stanu zwłaszcza, której Wydz. Prawodaw. przewodniczył, weszła na poważniejsze, niż nekrologi, rejestra. W prawoznawstwie odznaczył się Dutkiewicz jako wyborny znawca Kodexu, którego pojedyncze instytucje w uczonych, jasno w duchu prawa pisanych, rozprawach objaśniał. Największą jego pracą piśmienniczo-naukową w tej dziedzinie jest *Wykład prawa hypotecznego* (1850 r.). Najtrwalszy tytuł w historii literatury zyskał sobie Dutkiewicz, przez swoje badania nad dawnym prawem polskim — badania ścisłe, rozległe, głębokiego wniknięcia w ustawy, dzieje ich i przemiany dowodzące. Wyniki tych badań złożył w skromnie nazwanym *Programacie do egzaminu* (1865/9), w komentarzu nad *Zbiorem praw Jędrzeja Zamojskiego* (1874 r.), w pięciu rozprawach włączonych do *Biblioteki Umiejętności Prawnych*, wydawanej od 1873 r. w Warszawie, i w *Rozbiorze „Historii prawodawstwa słowiańskich“* W. A. Maciejowskiego (1870 roku). Pracował aż do śmierci. Zostawił po sobie piękną bibliotekę, która ma podobno przejść na własność jednego z hr. Branickich.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczy* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Wygnaniec**.

TREŚĆ. Pogawędka. — Henryk Wadsworth Longfellow, zyciorys, (dalszy ciąg). — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Апрель 1882 года.